



PAUL SADO

MIT MITÓW

Jedna relikwia. Jedno kłamstwo.
Prawda skrywana przez wieki.

THRILLER

MIT MITÓW

Paul Sado

MIT MITÓW

SADO PUBLISHING

Wydawca: SADO PUBLISHING

Redakcja i korekta: Grażyna Wołujewicz

Opracowanie graficzne, skład i łamanie: Adam Józwik

Koncepcja i projekt okładki: Paweł Sado

Zdjęcie na okładce: Zbiory własne autora

Copyright © 2026 Paweł Sado

Wszelkie prawa do publikacji zastrzeżone.

Powielanie i rozpowszechnianie z użyciem jakiejkolwiek techniki całości lub fragmentów utworu wymaga pisemnej zgody posiadacza praw autorskich.

Wydanie I, Warszawa 2026

ISBN 978-83-921792-1-4

Druk:

EDIT sp. z o.o.

ul. Dworkowa 2

05-462 Wiązowna

Niniejsza powieść jest utworem fikcji literackiej. Występujące w niej postacie, dialogi, wydarzenia, organizacje oraz interpretacje historyczne zostały wykorzystane lub przetworzone na potrzeby fabuły. Elementy historyczne stanowią tło opowieści i nie powinny być traktowane jako opracowanie naukowe.

*Moim córkom, Julii i Konstancji –
by pamiętały, że w życiu nie wszystkie prawdy,
nawet te odwiecznie powtarzane, są niezmiennie.
Poza jedną: rodziców warto słuchać,
Sumienia – zawsze!*

PODZIĘKOWANIA

Ta książka nie powstała w ciszy. Powstawała w rozmowach, w sporach o sens jednego zdania, w nocnych notatkach zapisywanych na marginesach codzienności.

Na tej drodze spotkałem wielu ludzi. Każdy z nich zostawił ślad – czasem jedno zdanie, czasem pytanie, czasem zwykłą obecność we właściwym momencie.

Świadomie nie wymieniam tu nazwisk. Nie dlatego, że ich brak, lecz dlatego, że nie sposób zważyć czyjś wkład bez ryzyka pominięcia kogoś innego albo ocenienia go mniej, niż na to zasługuje. Wy wiecie, kim jesteście. Wiecie też, ile to dla mnie znaczy – i jak bardzo ta książka nosi w sobie Wasz ślad.

Dziękuję tym, którzy pomagali oddzielać fakty od mitów, i tym, którzy przypominali, że czasem mit prowadzi bliżej prawdy niż fakt. Tym, którzy kwestionowali, gdy byłem zbyt pewny, i wspierali, gdy zaczynałem wątpić.

Jeśli ta opowieść stawia pytania, to dlatego, że powstała z pytań. A jeśli zostawia niepokój – być może właśnie taki był jej cel.

*„Historia jest zbiorem kłamstw,
co do których ludzie się zgodzili.”*

– Napoleon Bonaparte

*„Nie lękajcie się szukać prawdy
o sobie i otaczającym was świecie.”*

– Jan Paweł II

PROLOG

8 lutego 1939 roku, godz. 19:30 – Westfalia, Niemcy

To było piekielne lądowanie. Eugenio zaciskał mokre dłonie na aksamitnie gładkiej, lodowato zimnej skórze fotela, gdy maszyna z hukiem opadała na nierówne, przysypane śniegiem lotnisko. Junkers Ju 52/3m – duma niemieckiej techniki – tego wieczoru był jedynie bezwładną masą miotaną przez podmuchy. Silniki wyły wilczym skowytom, a kadłub wpadał w konwulsje przy każdym kontakcie z ziemią. W tych sekundach Eugenio po raz pierwszy od dawna poczuł własną bezbronność wobec sił natury.

Po mszy opuszczał bocznym wyjściem bazylikę św. Piotra, gdy dotarło do niego wezwanie z Berlina – nieproszone, przekazane tą samą, sprawdzoną drogą. Kilka słów. Zimnych, bezdyskusyjnych: natychmiastowe, dyskretne stawienie się na lotnisku pod Rzymem. Eugenio zrozumiał od razu – to był rozkaz.

Samolot wreszcie się zatrzymał. Koła jęknęły w ostatnim wysiłku, a ciszę przeciął zgrzyt metalowej drabinki wysuwanej przez jednego z załogantów.

– Prego, Monsignore. Proszę wybaczyć te niedogodności. Fatalna dziś aura.

– Dzięki Bogu jakoś udało się wylądować – odpowiedział Eugenio z wymuszonym spokojem, choć serce łomotało mu w piersi.

Gdy jego pantofle zanurzyły się w śnieżnej brei, przeszył go dreszcz – nie tylko z chłodu. Lód pod stopami skrzypiał złowieszczo, a wiatr, niosący zapach wilgoci i rdzy, wciskał się pod sutannę i przenikał całe ciało.

Mercedes czekał w oddali. Majaczył w półmroku nieruchomo, jak drapieżnik. Gdy tylko Eugenio wsiadł, samochód ruszył natchnionych, wspinając się krętą drogą ku zamkowi górującemu nad okolicą. Mgła gęstniała z każdą minutą, opadając na świat niczym kurtyna tragedii.

Zamek Wewelsburg – niegdyś twierdza, dziś bastion tajemnicy. Jego mury pochłaniały światło i wydawało się, że szepczą złowrogo w ciemności. Na dziedzińcu kilkunastu żołnierzy zastygło na jego widok. Ich spojrzenia wbijały się w Eugenia – obojętne, zimne, oceanizujące. Bez słowa pojawił się burgrabia zamku i skinął, by podążał za nim. Za drzwiami panowała ciemność gęsta jak smoła.

– Wszyscy już czekają – powiedział szorstko, wskazując kamienne schody prowadzące w dół.

Każdy kolejny stopień odbierał mu ciepło. Zamek wysysał z niego siłę. Kamień był lodowaty, zapach wilgoci i starego wapna osiadał na języku, zostawiał posmak krypty.

Lecz to nie zimno budziło lęk. To powietrze. Ciężkie, gęste, przesycone czymś nienazwanym. Pulsowało złowrogim rytmem – jakby same ściany oddychały. Zatrzymał się. Do jego uszu dobiegł śpiew – niski, monotony, przypominający zawodzenie. Ostrożnie uchylił drzwi i zajrzał do środka. Ołtarz spowity białym całunem. Dwanaście zakapturzonych postaci pod ogromną, czerwoną swastyką, której ramiona zdawały się poruszać w świetle świec, jakby wpadały w trans.

– Witaj, Kardynale – rozległ się znajomy, basowy głos.

Eugenio wszedł, jakby stąpał po cienkim lodzie. Wiedział, że nie ma już odwrotu. Zdążył pomyśleć tylko jedno: już wiedzą. Oskarżenia spadły na niego z siłą obucha: zdrada, ukrywanie planów Ojca Świętego, sabotaż wobec III Rzeszy. Próbowal odpowiedzieć, lecz każde słowo zdawało się ginąć w murach komnaty i wracać do niego jak echo grzechu. Pojutrze miała zostać ogłoszona encyklika potępiająca zbrodnicze działania reżimu. Świat miał usłyszeć słowa, które Ojciec Święty przygotowywał od miesięcy, a których Berlin obawiał się najbardziej. Eugenio, jako sekretarz stanu, próbował odwieść go od tego kroku. Daremnie. Dlatego tej nocy karty zostały przetasowane na nowo.

Ale nie on miał być rozdającym. Ani nawet graczem. Miał stać się jedną z kart. W tej talii – najwyższą.

– Chcecie mojej duszy... – wyszeptał.

Milczenie. Potem znów śpiew – głośniejszy, bardziej rytmiczny. Zbliżyli się do niego. Puchar z winem, który podano mu do ust, miał smak rozkładu – gorzki, metaliczny, duszący. Na wpół przytomnego ułożono go na kamiennym ołtarzu. Obnażono tors. Kapłan zanurzył pędzel w gęstej, czerwonej cieczy. Eugenio wyczuł zapach krwi.

– *In Freud und Leid* – wyszeptał duchowny i z chirurgiczną precyzją zaczął malować znak krzyża. Następnie, z makabryczną elegancją czterech zwinnych pociągnięć, przemienił go... w swastykę.

Świece zadrżały. Jakby próbowały uciec. Cisza, która zapadła, miała w sobie coś złowieszczego. Eugenio czuł się tak, jakby jakaś obca siła wciskała się do jego wnętrza.

Na jego głowę włożono *camauro* – miękkie, gronostajowe nakrycie, symbol najwyższej godności. Papieskiej. Marzył o nim przez całe życie. A teraz czuł się tak, jakby włożono mu koronę z cierni.

– Wybacz mi, Boże – pomyślał. – Muszę ocalić choć to, co jeszcze się da.

I wtedy podszedł ktoś z księgą w dłoniach. Kapłan, jak wcześniej, namalował ten sam znak na jej oprawie. Dopiero po chwili Eugenio dojrzał tytuł. Serce mu zamarło. Niemożliwe. Jak to się tu mogło znaleźć?

ΑΛΗΘΗΣ ΛΟΓΟΣ

Teraz już nie tylko on dźwigał moralną hańbę. Zachwiały się podwaliny całego Kościoła.

CZĘŚĆ PIERWSZA

RELIKT

ROZDZIAŁ 1

Sala wykładowa gmachu Uniwersytetu Warszawskiego wydawała się zbyt duża jak na czwartkowy poranek. Miała w sobie ten chłodny, nowoczesny porządek nowych budynków uniwersyteckich – dużo szkła, przestrzeni i ani śladu dawnego akademickiego patosu. Zbyt spokojna jak na dzień, w którym miał zniknąć człowiek.

Beton, szkło, rzędy krzeseł i słaby zapach wystygłej kawy, wsiąkający w salę. Większość kurtek wisiała na oparciach. Laptopy były otwarte, notatki zapisane, a w powietrzu unosiło się to charakterystyczne napięcie, które pojawia się pod koniec wykładu – kiedy wszyscy czują, że coś właśnie się domyka. Za przeszkloną ścianą Wisła płynęła ciężko, stalowa i obojętna. W oddali majaczyła linia mostu Świętokrzyskiego. Poranne światło odbijało się w wodzie jak w matowym lustrze.

To nie był zwykły temat z programu. To było końcowe, otwarte seminarium podsumowujące cykl wykładów z archeologii interpretacyjnej – o tym, jak odróżnić przypadek od projektu, naturę od działania człowieka. Chrystian Falk oparł dłonie na katedrze i rozejrzał się po sali.

– Zróbmy prosty eksperyment myślowy – powiedział prowadzący, odkładając teczkę na katedrę. – Kopiecie w piasku. Znajdujecie kamienny grot strzały. Symetryczny. Z wyraźnym retuszem na krawędziach.

Kilka osób uśmiechnęło się pod nosem.

– Co myślicie?

– Że ktoś go zrobił – padło z tyłu.

– Albo że ktoś tu był przed nami i polował – dodał ktoś inny.

– A czy ktokolwiek uznałby, że to efekt erozji skał i losowych uderzeń wiatru?

Śmiech. Ktoś prychnął.

– To artefakt – odezwała się dziewczyna siedząca przy oknie.
– Widać intencję.

– Doskonale. A jak rozpoznajemy intencję? – spytał profesor.

Zapadła cisza. Tym razem dłuższa.

– Informacją – odezwała się dziewczyna. – Artefakt zawiera zaprojektowaną informację.

– Właśnie. Archeologia od tysięcy lat opiera się na rozpoznawaniu śladów celowego działania. Pytanie brzmi: dlaczego tę samą ostrożność tracimy, kiedy patrzymy na biologię?

– Weźmy na przykład DNA. Co o nim myślicie? – zapytał prowadzący.

– Też zawiera informację – mruknął ktoś niechętnie.

– Więcej – poprawił go spokojnie wykładowca. – DNA jest informacją. Czteroliterowym alfabetem zapisującym instrukcje: jak zbudować komórkę, kiedy ją podzielić, kiedy naprawić, a kiedy zabić.

Na slajdzie pojawił się kolorowy zapis sekwencji DNA.

– To nie jest „chemia jak każda inna”. To kod.

Chłopak z trzeciego rzędu podniósł rękę.

– Ewolucja tłumaczy to wystarczająco. Mutacje i selekcja naturalna.

– Ewolucja świetnie tłumaczy zmiany w istniejącym kodzie – odpowiedział prowadzący. – Ale nie tłumaczy, skąd wziął się sam kod. Mutacja bez kodu to jak literówka bez alfabetu.

– Czyli Bóg – padło ironicznie z lewej strony sali.

– Nie powiedziałem „Bóg” – uśmiechnął się prowadzący. – Powiedziałem: źródło informacji.

Kilka osób spojrzało po sobie. Ktoś przestał pisać na laptopie.

– Zejdźmy poziom niżej – ciągnął dalej. – Do białek.

Na ekranie pojawiła się trójwymiarowa struktura, spleciona jak miasteczko złożona rzeźba.

– Białka to struktury o niezwyklej precyzji, jak maszyny. Jedne katalizują reakcje, inne transportują, jeszcze inne kopiuje informację.

– I co z tego? – zapytała dziewczyna w swetrze.

– To, że jeśli zmienisz kolejność kilku aminokwasów, białko przestaje działać. – To trochę jak mechanizm zegarka. Dziesiątki elementów

współpracują ze sobą. Wystarczy, że jeden zostanie źle wykonany albo trafi nie na swoje miejsce, a cały mechanizm przestaje działać. Niektóre sekwencje są tak rzadkie, że statystycznie Wszechświat nie ma wystarczająco dużo czasu, by trafić na nie przypadkiem.

– Ale ewolucja nie działa losowo – wtrącił ktoś.

– Selekcja naturalna działa po fakcie – odparł prowadzący. – Najpierw coś musi działać, żeby mogło zostać wybrane. Pytanie brzmi: jak powstaje coś, co zaczyna działać dopiero wtedy, gdy jest kompletne?

– Weźmy przykład systemowy – kliknął kolejny slajd. – Aparat krzepnięcia krwi.

Na ekranie pojawił się schemat przypominający mapę metra.

– Kilkanaście białek. Każde aktywuje kolejne. Jeśli usuniecie jedno, organizm się wykrwawia albo wytworzy skrzepy wszędzie. To system, który nie działa w wersji „beta”.

– Może miał inne funkcje wcześniej – odezwał się student z tyłu.

– Może – skinął głową prowadzący. – A może to po prostu realny problem inżynierski, którego jeszcze nie rozwiązaliśmy.

Kliknął pilotem.

– Niektóre struktury biologiczne osiągają poziom złożoności, którego pochodzenie nadal pozostaje przedmiotem sporu. Matematyka bywa tu bezlitosna.

Na ekranie pojawił się obraz rozsypanych kartek.

– Wyobraźcie sobie rękopis powieści rozrzucony przez huragan. Możecie powtarzać ten eksperyment miliony razy. Pytanie brzmi: czy kartki kiedykolwiek spadną idealnie ułożone, tak jak wyfrunęły – rozdział po rozdziale, strona po stronie?

Na sali zrobiło się wyraźnie ciszej.

– A biologia operuje poziomami informacji i złożoności nieporównywalnie większymi niż jakakolwiek książka napisana przez człowieka. Inteligentny projekt nie jest dowodem. Nie jest religią. I nie jest zaprzeczeniem ewolucji – zrobił krótką pauzę. – Jest pytaniem. Niewygodnym.

Nikt nie próbował polemizować.

– Problem polega na tym, że współczesny człowiek bardzo szybko

uznaje brak odpowiedzi za dowód, że odpowiedzi nie ma. A historia nauki uczy raczej pokory niż pychy.

Kilka osób podniosło wzrok znad laptopów.

– Jeszcze sto lat temu byliśmy przekonani, że Wszechświat jest prosty i niemal całkowicie zrozumiały. Dziś wiemy głównie, jak wiele nadal pozostaje niewyjaśnione. Powstanie życia, świadomość, źródło informacji biologicznej. Sam fakt, że rzeczywistość można opisać matematyką.

Przeszedł powoli kilka kroków między rzędami.

– Nauka jest jednym z największych osiągnięć człowieka. Ale nauka nie polega na wierze, że wszystko już wiemy. Polega na zadawaniu pytań wtedy, gdy odpowiedzi nadal są niepełne.

Tym razem nikt nie przerwał.

– Dlatego pytanie nie brzmi dziś, czy ewolucja istnieje. Oczywiście, że istnieje. Pytanie brzmi, czy ślepy i niekierowany proces rzeczywiście wystarcza, by wyjaśnić całość złożoności, informacji i precyzji, które obserwujemy.

Spojrzał na ekran, potem znów na studentów.

– I uczciwa odpowiedź naukowa brzmi: jeszcze tego nie wiemy.

Zamknął laptopa.

– A kiedy człowiek przestaje bać się słów „nie wiem”, zwykle dopiero wtedy zaczyna rozumieć coś naprawdę.

Włożył komputer do torby i ruszył w stronę wyjścia, nie oglądając się za siebie. Drzwi zamknęły się za nim cicho.

Nikt nie ruszył się od razu. Jakby wszyscy mieli wrażenie, że jeszcze wróci i powie jedno zdanie, które zostanie z nimi dłużej niż sam wykład.

Na korytarzu było chłodniej. Betonowe ściany odbijały echo kroków, a światło jarzeniówek nadawało twarzom przechodzących studentów blady, nieco nienaturalny odcień. Ktoś śmiał się zbyt głośno. Ktoś inny przeglądał telefon. Zwykły ruch po wykładzie – a jednak

Chrystian miał wrażenie, że coś wisi w powietrzu.

– Panie profesorze – usłyszał za sobą.

Nie odwrócił się od razu. Zwolnił.

– Profesorze, chwileczkę.

Chłopak w czarnej bluzie dogonił go kilka kroków dalej. Miał jeszcze w ręce notes, jakby nie zdążył go schować. Zatrzymał się pół kroku za blisko.

– Pan mówił o projekcie – zaczął, ciszej niż na sali. – O rozumie. O informacji.

Chrystian skinął głową, nie przerywając marszu.

– I... – chłopak zawahał się. – O tym, że to wszystko może nie być przypadkiem. Być może nawet efektem działania jakiejś inteligencji.

Kilka osób przechodzących obok zwolniło. Ktoś udawał, że poprawia plecak. Ktoś inny zatrzymał się przy gablocie, choć wyraźnie nie czytał ogłoszeń.

– To teraz proste pytanie – powiedział chłopak. – Czy pan w to wierzy?

Prowadzący zatrzymał się.

– W co dokładnie? – zapytał spokojnie.

– W Boga.

Słowo zawisło między nimi. Zbyt głośne jak na korytarz. Zbyt osobiste jak na rozmowę po wykładzie.

Wykładowca spojrzał na niego uważnie.

– To zależy, co rozumiesz przez słowo „Bóg”.

– Klasycznego – odpowiedział chłopak. – Osobowego. Religijnego.

Prowadzący uśmiechnął się lekko. Bez ironii.

– W takim razie odpowiem precyzyjnie – powiedział. – Nie wiem.

Kilka osób wymieniło spojrzenia.

Po tych słowach ruszył dalej, ale po dwóch krokach zatrzymał się jeszcze raz.

– Ale wiem jedno – dodał, nie podnosząc głosu. – Jeśli rzeczywistość jest tylko ślepym przypadkiem, to ten wykład był stratą czasu.

Odwrócił się.

– A jeśli nie? – zapytał chłopak.

Prowadzący na chwilę zawiesił głos.

– To wszyscy mamy większy problem, niż nam się wydaje.

I poszedł, pozostawiając ludzi, którzy nagle nie bardzo wiedzieli, dokąd właściwie zmierzają.

Ich dociekliwość przypomniła mu własne studia. Tyle, że u niego takie pytania rzadko kończyły się dobrze. Na pierwszym roku miał reputację tego, który „psuje zabawę”. Gdy na wykładzie z historii średniowiecza prowadzący mówił o legendzie Popiela, on podnosił rękę i spokojnie wyliczał: późna kompilacja, motyw grzesznego władcy pożątego przez naturę. schemat moralitetu, brak źródeł współczesnych wydarzeniu. Przy Wandzie, „co nie chciała Niemca”, dodawał: konstrukcja tożsamości przez antytezę, polityczny mit założycielski. Ktoś westchnął demonstracyjnie. Ktoś zamknął zeszyt z trzaskiem. Koledzy przewracali oczami.

Profesor tylko skinął głową.

– Panie Falk... – powiedział spokojnie. – Mit to nie bzdura. To narzędzie. – Krótka pauza. – I proszę uważać, kto nim się posługuje.

Nie wiedział jeszcze, że pewnego dnia sam stanie się przedmiotem analizy.

Dziękujemy za lekturę pierwszego rozdziału powieści Mit mitów.

Pełna wersja książki dostępna jest w sprzedaży w formie papierowej oraz jako e-book.

Po zakupie wersji elektronicznej otrzymasz plik EPUB,
przeznaczony do wygodnego czytania na czytnikach,
tabletach i telefonach.

Zachęcamy również do wyboru wersji papierowej – dla tych,
którzy wolą klasyczną lekturę i książkę na półce.

Pełna wersja powieści „Mit mitów” dostępna jest na stronie:
mitmitow.pl

Wersja elektroniczna dostępna jest w formacie EPUB
– wygodnym do czytania na telefonie, tablecie i czytniku.
Zachęcamy również do wyboru wydania papierowego dla tych,
którzy wolą obcować z książką w tradycyjnej formie.

Paul Sado

UWAGA: To bezpłatny fragment promocyjny. Plik można udostępniać wyłącznie w niezmienionej formie, z zachowaniem nazwiska autora, tytułu oraz adresu strony mitmitow.pl. Zabronione jest jego modyfikowanie, odsprzedawanie i wykorzystywanie komercyjne bez zgody autora.